

ANATOLE FRANCE

POGLĄDY KSIĘDZA
HIERONIMA COIGNARDA

Anatole France

Poglądy księdza

Hieronima Coignarda

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23530618

Poglądy księdza Hieronima Coignarda:

Аннотация

Hieronim Coignard był katolickim duchownym oraz profesorem krasomówstwa w kolegium Beauvais, późniejszym m.in. sekretarzem katedry. Był bardzo płodnym pisarzem i zostawił wiele rękopisów niewydanych przed jego tragiczną śmiercią. Jego dorobek został przekazany jednemu z jego uczniów, spisał on również wspomnienia o Coignardzie, jednak została ona przejrzana i opublikowana dopiero przez Anatole'a France'a. Poglądy księdza Hieronima Coignarda to traktat filozoficzno-moralny z 1893 roku, ubrany w szatę powieści – przedstawia spotkania tytułowego bohatera z różnymi ludźmi i umieszcza go w różnych sytuacjach, prowokujących do ujawnienia jego światopoglądu, a niekiedy interwencji w los bohaterów. Anatole France był francuskim pisarzem, którego lata twórczości przypadają na przełom XIX i XX wieku. Był bibliofilem i historykiem, prezentował postawę racjonalistyczną i sceptyczną, jego dzieła mają charakter filozoficzny, ale także satyryczny. Miał duży wpływ na twórczość m.in. Conrada, Prousta i Huxleya. W 1921 roku został uhonorowany Nagrodą Nobla w dziedzinie literatury.

Содержание

Ksiądz Hieronim Coignard	4
Poglądy księdza Hieronima Coignarda	29
I. Ministrowie państwa	30
II. Święty Abraham	37
III. Ministrowie państwa (ciąg dalszy i dokończenie)	50
Конец ознакомительного фрагмента.	55

Anatole France

Poglądy księdza

Hieronima Coignarda

Ksiądz Hieronim Coignard

*Oktawowi Mirbeau*¹

Nie mam potrzeby streszczać tutaj życiorysu księdza Hieronima Coignarda, profesora krasomówstwa w kolegium w Beauvais, bibliotekarza pana de Sééz (*Sagiensis episcopi bibliothecarius sollertissimus*², jak go nazywa nagrobne epitafium), późniejszego sekretarza katedry Św. Innocentego, a w końcu konserwatora owego „Astaracjanum”, tej królowej bibliotek, której zatruty nigdy dostatecznie odżałować nie będzie sposobu. Wiadomo, że zginął od sztyletu Żyda-kabalisty, nazwiskiem Mozaides (*judeae manu nefandissima*³), pozostawiwszy dużo nieukończonych prac oraz niewygasłe wspomnienie pięknych maksym, wygłaszanych w rozmowach

¹ *Octave Mirbeau* (1848–1917) – fr. pisarz i krytyk sztuki. [przypis edytorski]

² *Sagiensis episcopi bibliothecarius sollertissimus* (łac.) – uczonego bibliotekarza biskupa Sééz. [przypis edytorski]

³ *judeae manu nefandissima* (łac.) – z ręki niegodziwego Żyda. [przypis edytorski]

z przyjaciół⁴. Szczegóły żywota jego oraz tragicznej śmierci przekazane zostały potomności przez ucznia znakomitego człowieka, Jakuba Ménétrier, nazywanego także Rożenkiem, albowiem był on synem pewnego właściciela gospody przy ulicy Św. Jakuba. Ów Rożenek pałał ku temu, którego zwał zawsze mistrzem swoim, uwielbieniem i miłością gorącą. „Mistrz mój ukochany – zwykł był mawiać – to najwykwintniejszy umysł, jaki pojawił się do tej pory na ziemi!” On to właśnie, Rożenek, z całą skromnością i wiernością bezprzykładną spisał wspomnienia o księdzu Hieronimie Coignard, a postać nieodżałowanego męża zmartwychwstaje w nich niby Sokrates w *Memorabiliach* Ksenofonta.

Ze starannością niesłychaną, ścisłością pedantyczną i umiłowaniem wielkim nakreślił przepyszny portret i ożywił go tak, że stawa⁵ przed nami w całej prawdzie, nieskazitelnie wierny. Praca ta przywodzi na myśl portrety Erazma, malowane przez Holbeina, które oglądamy w Luwrze, w muzeum bazylejskim, w Hampton Court i nie możemy się nasycić ich pięknem. Krótko i węzłowato, dał arcydzieło!

Zdziwi was zapewne, że pamiętników owych nie opublikował drukiem. Mógł to uczynić tym łatwiej, że został księgarzem przy ulicy Św. Jakuba, dziedzicząc księgarnię „Pod Obrazem Św. Katarzyny” po panu Blaizot. Być może, iż trawiąc żywot pośród ksiąg, uczuł niechęć dorzucenia kilku nawet kartek do

⁴ *przyjacioły* – dziś popr. forma: z przyjaciółmi. [przypis edytorski]

⁵ *stawa* – dziś popr. forma: staje. [przypis edytorski]

owego potwornego zwału poczernionej bibuły, butwiejącej w spelunkach antykwarzy. Zrozumiały nam się staje ów wstręt, gdy mijamy rozłożone po skwerach pudła bukinistów, pełne dwususowych⁶ książczysk, których karty mieszczące sny o nieśmiertelności pożera i rozkłada słońce i deszcz. Są to przedmioty budzące w człowieku kultury refleksje, co wiedzą do poznania nicości wszelakiej pisaniny i przypominają owe trupie czaszki, które Bossuet posyłał samotnikowi-trapiście, by mu sprawić rozrywkę. Przyznaję w zupełności, że sam, włócząc się pomiędzy Pont-Royal a Pont-Neuf, odczuwałem nieraz ową nicość doskonale. Skłaniam się tedy do przypuszczenia, że uczeń księdza Hieronima Coignarda nie wziął się do opublikowania swej pracy z powodu, iż – wykształcony przez tak znakomitego mistrza – miał zdrowy sąd o sławie literackiej i cenił ją wedle wartości istotnej, to znaczy miał ją za nic. Wiedział, że jest chwiejna, krucha, że podlega błędom rozlicznym i zależy od okoliczności marnych i nic nie znaczących naprawdę. Widząc, iż współcześni mu ludzie są ograniczeni, zawistni i płytki, nie żywił zgoła nadziei, by potomność stała się nagle mądra, sprawiedliwa i głęboka. Mniemał co najwyżej, że pokolenia przyszłe, dalekie sporom chwili bieżącej, w braku sprawiedliwości obdarzą nas przynajmniej zupełną obojętnością. Mamy niemal całkowitą pewność, że połączy nas ona wszystkich, wielkich i małych, w cichym zapomnieniu i ziści spokojną równość milczenia.

⁶ *dwususowy* – za dwa *sous*, tj. bardzo tanie, mierne; *sous* – daw. drobna moneta fr. [przypis edytorski]

Ale gdyby nawet nadzieja ta złudną się miała okazać, gdyby pokolenia wieków, co przyjdą, zachowały niejaki wspomnienia imion naszych czy utworów, to łatwo przewidzieć, że znajdą one upodobanie w tychże utworach jedynie przez opaczne ich zrozumienie, wkładanie w nie własnych idei, gdyż to jedynie czyni dzieło geniuszu trwałym poprzez wieki. Długotrwałość arcydzieł uwarunkowana jest tragicomedią intelektualną, zgoła marną, gdzie arlekin podaje rękę pedantowi w tworzeniu błazeńskich kalamburów na temat tego, co dała dusza artysty. Nie waham się twierdzić, że w naszej dobie nie ujmujemy jednego jedyne go wiersza *Iliady* czy *Boskiej komedii* w tym znaczeniu, jakie posiadały pierwotnie. Życie to przemiana, a żywot pogrobny naszych pisanych myśli nie może również wyłamać się spod tego prawa. Przetrwają, ale jedynie pod warunkiem, że będą się stawać coraz odmienniejsze od tego, czym były rodząc się z dusz naszych. To, co w nas podziwiać będzie potomność, niepodobne nam będzie zgoła i całkiem obce.

Nie jest wykluczone, że Jakub Rożenek, człowieczek prostoty niesłychanej, nie zdawał sobie wcale sprawy z tych problemów odnośnie do małej książeczki, która wyszła spod jego pióra. Krzywdę byśmy mu uczynili wielką, posądzając go o przesadne mniemanie o sobie.

Znam go, zda mi się, dobrze. Zastanawiałem się nad jego książką. Wszystko, co mówi i czyni, świadczy o wielkiej skromności ducha. Nie było mu co prawda tajne, że talent posiada, wiedział również jednak, że jest to rzecz najtrudniejsza

do przebaczenia. Łatwiej dużo darować ludziom wybitnym małoduszność i obłudę serca. Godzimy się chętnie z ich tchórzostwem czy złośliwością, a nawet powodzenie nie przysparza im nieprzyjaciół, o ile tylko jest niezasłużone.

Przeciętych natychmiast podnoszą i wchłaniają przeciętni z najbliższego otoczenia, bowiem uznanie owo na nich samych spływa. Chwała człowieka małego nikogo nie razi, jest to raczej potajemne schlebianie wulgarności. Talent natomiast tai w sobie zuchwalstwo i pokutuje za nie, budząc głuchą nienawiść i skryte oszczerstwo. Można podziwiać tylko zdrowy pogląd Rożenka i uznać go za godnego ucznia mistrza będącego znawcą ludzi, jeśli świadomie zrezygnował z uciążliwego bardzo zaszczytu rozniewiania tłumu głupców i złośników za pomocą utworu swego. Koniec końcem, rękopis Jakuba Rożenka nie został wydrukowany i znikł na więcej niż sto lat. Udało mi się szczęśliwie odnaleźć go u pewnego handlarza przy bulwarze Montparnasse, który rozkłada poza zakurzonymi szybami swego sklepiku orderzy lilii burbońskiej, medale ze Św. Heleny i dekoracje lipcowe, nie wiedząc, że daje w ten sposób ludziom współczesnym pełną melancholii lekcję rezygnacji. Rękopis ten ogłoszony został w roku 1893 przeze mnie pod tytułem *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*, tom in 18°, i do niego odsyłam czytelnika, ręcząc, że znajdzie w nim więcej nowości niż w niejednej starej księdze. Ale tutaj nie idzie mi wcale o tę rzecz.

Jakub Rożenek nie poprzestał na zaznajomieniu świata z czynami i poglądami swego mistrza w opowieści

skomponowanej jak romans. Zebrał on także dużo mów i rozmów księdza Hieronima Coignarda, nie mogących znaleźć miejsca w pamiętniku (tak nazwać by należało właściwie rzecz pt. *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*), i powstała stąd mała książeczka, która wraz z innymi papierami dostała się w moje ręce.

Publikuję ją obecnie pod tytułem: *Poglądy księdza Hieronima Coignarda*. Ochotne przyjęcie przez publiczność pierwszej pracy Jakuba Rozenka dodało mi odwagi do puszczenia w obieg tych dialogów, które odzwierciedlają ową przedziwną, pobłażliwą mądrość i wielkoduszny sceptycyzm byłego bibliotekarza biskupa de Sééz, jakimi przepoiło go zgłębianie ludzkiej natury, z konieczności nacechowane pogardą i życzliwością jednocześnie.

Nie mogę brać odpowiedzialności za poglądy tego filozofa na przeróżne sprawy z zakresu polityki i moralności. Obowiązek mój jako wydawcy ogranicza się wyłącznie do przedstawienia myśli danego autora w jak najkorzystniejszym świetle. Wolnomyślny umysł jego gardził wszelkimi wierzeniami spóółstwa, nie poddawał się bezkrytycznie zapatrywaniom swego czasu, a jedynie w rzeczach dotyczących wiary świętej był zgoła nieugięty. Pod każdym innym względem ważył się na walkę z wiekiem swoim, i to właśnie wzbudza we mnie cześć dla niego. Winniśmy wdzięczni być wielkim umysłem, niweczącym przesady. Łatwiej atoli wielbić niż naśladować, przesady bowiem tworzą się i zmieniają na kształt chmur

wieczyście ruchliwych. Z zasady zawsze wydają się dostojne, zanim przybiorą wygląd ohydny, toteż rzadkimi są ludzie nie ulegający urojeniom panującym współcześnie i mający odwagę spojrzeć w oblicze prawdy, przed którą korzy się hołota. Ksiądz Coignard był człowiekiem zajmującym skromne stanowisko i samo to wystarcza moim zdaniem, by go postawić powyżej takiego Bossueta i tych wszystkich dostojników, którzy jaśnieją w pierwszych rzędach teatru świata, w tradycyjnym otoczeniu zwyczajów i wierzeń.

Jeśli z jednej strony cenić należy wolność umysłu księdza Coignarda, nie skażonego pospolitymi błędami, jako też to, że namiętności nasze i obawy nie miały doń przystępu, to z drugiej strony należy podnieść, że ten znakomity człowiek posiadał niezwykle, oryginalne poglądy na przyrodę i społeczeństwo i mógłby był niewątpliwie zachwycić wszystkich wspaniałą, ogarniającą całokształt rzeczy konstrukcją myślową, gdyby mu jeno⁷ nie brakło zręczności czy woli nasypania do luk widniejących pomiędzy różnymi prawdami całej masy świętych sofizmatów, co by całość spoiło w jedną bryłę. W ten to jeno sposób buduje się wielkie systematy filozoficzne, gdzie jedynym lepszczem jest zawsze sofistyka. Brakło mu zmysłu twórczości systematycznej lub też, powiedzmy, znajomości sztuki symetrycznej architektury i brak ten sprawia, że okazuje się tym, czym jest w rzeczywistości, to znaczy: najmędrszym z moralistów, czymś w rodzaju równoczesnego kontynuatora

⁷ jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Epikura i św. Franciszka z Asyżu.

Ci mężowie to, zdaniem moim, dwaj najlepsi przyjaciele cierpiącej ludzkości, jakich spotkała w swej bolesnej, obłądnej wędrówce. Epikur wyzwala dusze ze złudy strachu i uczy je dostosowywać pojęcie szczęścia do swej nędznej natury i małych sił swoich. Zaczyna św. Franciszek, czulszy i bardziej zmysłowy, wiedzie ich ku szczęściu drogą wewnętrznych marzeń i chce, by za jego przykładem dusze tonęły w radosnym upojeniu, zapadały w bezdenń urocznej samotności. Obaj byli dobrzy, jeden bowiem zniweczył złudy przestarzałe, drugi stworzył złudy nowe, z których zbudzić się nie sposób.

Nie przesadzajmy jednak w niczym. Ksiądz Coignard nie dorównywał zapewne ani czynami, ani myślami najodważniejszemu z mędrców i najpłomienniejszemu ze świętych. Nie umiał, odkrywając prawdy, rzucać się w nie niby w przepaść. W najśmielszych dociekaniach swoich zachowywał metodę człowieka odbywającego miłą przechadzkę. Nie przejmował się zbyt pogardą ogólną, jaką go napawali ludzie. Brak mu było owej bezcennej złudy, która stanowiła siłę Bakona⁸ i Dekarta⁹, nie mógł jak oni wierzyć w siebie, utraciwszy wiarę w innych. Nie dowierzał prawdzie, którą nosił w sercu, i rozsiewał skarby swego ducha bez zwykłego namaszczenia.

⁸ *Bakon*, właśc. *Roger Bacon* (1214–1294) – filozof i alchemik ang., uważany za twórcę metody naukowej. [przypis edytorski]

⁹ *Dekart*, właśc. *René Descartes* a. *Kartezjusz* (1569–1650) – fr. uczonec i filozof, autor *Rozprawy o metodzie*. [przypis edytorski]

Brakło mu tego wspólnego wszystkim fabrykantom idei zaufania do siebie, tej zarożumiałości, że jest wyższym nad wszystkich geniuszów, którzy dotąd istnieli.

Jest to błąd, jakiego świat nie przebacza nigdy, bowiem sława oddaje się jeno temu, kto się stara o jej względy. Było to wielką słabością i brakiem konsekwencji ze strony ks. Coignarda, że posunąwszy swe filozoficzne zuchwalstwo do granic ostatnich, nie miał odwagi proklamowania się pierwszym z ludzi. Serce atoli¹⁰ jego pozostało pokornym, a dusza czystą i owa niedomoga intelektualna, przeszkadzająca wznieść się ponad wszechświat, przyprawiła go o stratę nienaprawialną zgoła. Ach... wyznam szczerze, że właśnie to czyni go bliższym memu sercu.

Twierdzę bez wahania jako filozof i chrześcijanin: ks. Coignard łączy w sobie w sposób iście przedziwny epikureizm, chroniący nas od cierpienia, i prostotę świętego, ową niewyczerpaną krynicę szczęścia.

Zwrócić winniśmy przede wszystkim uwagę na to, iż nie tylko przyjmuje ideę Boga w tym kształcie, w jakim dała nam ją wiara katolicka, ale stara się poprzeć ją argumentami ściśle rozumowymi i silnie ugruntować. Nie stąpa śladami owych zręcznych i praktycznych deistów z profesji, którzy, stworzywszy na swój użytek Boga moralistę, filantropa i skromnisią, są z nim za pan brat i żyją w zupełnym porozumieniu niby świnia z pastuchem. Bezpośredni i bezceremonialny stosunek z tak wielką osobistością nadaje ich dziełom wielki autorytet, a ich

¹⁰ atoli (daw.) – jednak. [przypis edytorski]

samych w oczach publiczności otacza nimbem czci i uznania. Ks. Coignard nie robił nigdy tak dobrego interesu na Bogu, wielkorządcy świata, umiarkowanym, zrównoważonym, wolnym od wszelakiego fanatyzmu, którego wyśmienie wprowadzić można w zespół ludzki, na wiec polityczny, do salonu czy akademii. Takiego Przedwiecznego nie posiadał ks. Coignard, przeświadczony atoli, że poznać wszechświata nie można inaczej jak intelektem własnym, uznał świat za poznawalny i, nie cofając się nawet przed możliwością wykazania absurdalności takiej koncepcji, odniósł przyczynę jego istnienia do inteligencji zasadniczej, nazwawszy ją Bogiem. Zostawił tej idei całą mglistość nierozłączną z wszelką zasadą i całą nieuchwytność, odsyłając żadnych szczegółów do teologii, która, jak wiemy, sekcjonuje Niepoznawalne z całą starannością operatora.

Owa rezerwa, zarysowująca krańce jego inteligencji, była nader szczęśliwym pomysłem, chociaż z drugiej strony odjęła mu, zdaniem moim, chęć zbudowania jakiegoś uroczonego i ponętnego systematu filozoficznego i uchroniła przed wetknięciem głowy w jedną z takich właśnie łapek na myszy, do których spieszy zazwyczaj każdy duch wolny, pragnąc co prędzej zakończyć żywot swój. Czując się doskonale w starej jamie szczurzej, odnalazł w niej niejedno wyjście, a zerkając na prawo i lewo, czynił odkrycia w świecie i obserwował uważnie przyrodę.

Nie podzielam jego wierzeń religijnych i zdaje mi się, że wprowadziły go one nieraz w błąd, podobnie jak tumaniały całe

pokolenia i wieki, ku szczęściu czy nieszczęściu ludzi. Być może jednak, że stare błędy nie są tak straszne, jak nowe, a jeśli już musimy dać się wodzić za nos, to lepiej chyba trzymać się złud, których ostrze stępiało.

Muszę twierdzić, że o ile ksiądz Coignard przyjął za zasadę wierzenia chrześcijańskie i katolickie, to jednak nie krępował się wcale, gdy szło o wyciągnięcie z nich konkluzji nader oryginalnych. Z korzeni ortodoksji wykwił prąd jego bujnej duszy i rozkwiecił się nadobnymi kielichami epikureizmu i pokory. Wspomniałem już, że starał się zawsze wypłoszyć ze świata owe nocne widziadła, one przerażne maskary, owo, jak je nazwał, diabelstwo gotyckie, czyniące pobożny żywot prostego mieszczucha areną, na której szaleje sabat codziennego trywializmu małpującego religię. Teologowie dni naszych zarzucają mu, że się posuwał w ufności w miłosierdzie Boże zbyt daleko, że dochodził aż do zupełnej bezbożności. Taki zarzut znajdujemy w artykule jednego z wybitnych myślicieli¹¹.

¹¹ *Teologowie dni naszych zarzucają mu [...] zarzut znajdujemy w artykule jednego z wybitnych myślicieli* – Jan Lacoste pisze w „Gazette de France” z dnia 20 maja 1893: Ksiądz Hieronim Coignard to kapłan prudencji, pokory i wiary. Nie twierdzą, by postępowaniem swym czynił zawsze zaszczyt swej tonsurze, a duchowna sukienka jego pokaleczoną została może tu i ówdzie niewielkimi dziurami. Ale nawet wówczas, kiedy ulega pokusie, kiedy diabeł porywa go w szpony, unosząc bez dostatecznego oporu, to nie traci on nigdy wiary i ufa zawsze, że przy łasce Bożej poprawi się i ostatecznie wejdzie do królestwa niebieskiego, przeznaczonego dla sprawiedliwych. W istocie daje nam budujące widowisko śmierci pięknej i godnej chrześcijanina-katolika. Widzimy tedy, że ziarno gorczyczne wiary, zdobiące życie, oraz pokora tkwią w słabostkach ludzkich. Jeśli nawet ks. Coignard nie jest świętym, to kwalifikuje się co najwyżej do czyścica. Ale mimo że się tam pewnie dostał, to jednak niewiele brakowało, by zleciał

Nie wiem doprawdy, czyli ks. Coignard „grzeszył zuchwale w nadziei nieprzebranego miłosierdzia Bożego”, nie ulega jednak wątpliwości, że łaskę traktował w rozmiarach bardzo szerokich i zgodnych z naturą, a świat w oczach jego nie tyle przywodził na pamięć pustać Tebaidy, co rozkoszne ogrody Epikura. Przechadzał się też po nim z ową pełną zaufania naiwnością, będącą zasadniczym rysem jego charakteru i podwaliną nauki.

Żaden umysł nie jednoczył w sobie, zaprawdę, takiego zuchwalstwa i umiłowania pokoju oraz tak nie słodził pogardy nektarem dobroci. Etyka jego to synteza śmiałości filozofów kynejskich i pokornej czystości pierwszych mnichów św. Franciszka w Porcjunkuli. Pogardzał ludźmi z nieopisaną czułością, starając się pouczyć ich, że jedyną wielką rzeczą, jaką posiadają, jest zdolność cierpienia bez granic, a zarazem jedyna rzecz rozsądna i piękna, na jaką się zdobyć mogą, to litość. Uczył braci swych, zdolnych jeno pożądać i cierpieć, jak mają hodować w sobie cnotę pobłażania i rozkoszy. Doszedł w konkluzjach swych do wskazania za źródło wszelkiego zła występku pychy,

na dno piekieł, albowiem życie jego, nacechowane szczerą pokorą, nie wykazuje zgoła żadnego aktu skruchy ani żalu za grzechy. Miał zbyt wielką ufność w miłosierdzie Boże i nie czynił żadnych wysiłków, by uczynić duszę swą podatną na działanie łaski. Dlatego to ciągle popadał w dawne grzechy. Na niewiele zdała mu się tedy wiara i był nieomal heretykiem, albowiem święty sobór trydencki w VI i IX kanonie szóstej kongregacji rzuca anatemę na tych, którzy twierdzą, jako „niezdolen człowiek uczynić złego wbrew woli Boga, i mają taką ufność w potęgę wiary, iż za zbytuczny uznają każdy wysiłek woli własnej, sądząc, iż sama do zbawienia wystarcza”. Dlatego ta łaska Boża, która spływała na ks. Coignarda, jest wprost cudowną i nie zdarza się w normalnych warunkach życia. [przypis autorski]

który jest jedynym zarazem grzechem przeciwko naturze.

Zdaje się, miał rację, ludzi bowiem unieszczęśliwia głównie przesadne mniemanie o sobie samych i swych bliźnich, a gdyby nabrali poglądu skromniejszego i zgodniejszego z tym, co stanowi istotę natury człowieka, staliby się wyrozumiali dla bliźnich i dla siebie zarazem.

Życzliwość tedy sprawiła, iż z pogardą odnosił się do bliźnich swoich, że tępił ich uczucia, wiedzę, filozofię i instytucje społeczne. Pragnął gorąco i miał odwagę wykazać im, że nie byli w stanie stworzyć ni wymyślić niczego, co godnym byłoby gwałtownej napaści czy żarliwej obrony, a gdyby wiedzieli, jak niezdarne i kruche są ich największe dzieła, na przykład ustawodawstwo i państwowość, toczyliby o nie jeno pozorne walki i turnieje, bawiliby się jeno w atak i obronę, jak czynią dzieci, budujące pałace i niezdobyte twierdze z piasku nad brzegiem morza.

Nie trzeba tedy oburzać się ni dziwić, że starał się obniżyć wszystkie owe idee, które służą do wytwarzania pojęcia sławy i zaszczytów kosztem pokoju i spoczynku człowieka. Nie imponował jasnowidzącej duszy jego majestat prawa i wyrażał ciągle żal, iż nieszczęśliwi uginają się pod takim brzemieniem zobowiązań, których zasady i znaczenia najczęściej zgoła odnaleźć nie sposób. Wszystkie zasady wydawały mu się jednakowo wątpliwe i chwiejne. Doszedł do tego, że twierdził, jakoby obywatele dlatego jeno skazywali na infamię tak wielką liczbę podobnych sobie, iż w ten sposób, na mocy kontrastu,

syca się tym lepiej czcią własną i szacunkiem. Ten pogląd sprawił, że wolał towarzystwo złe od dobrego, idąc śladami Tego, który przestawał z „publikanami i wszetecznymi”. W takim to środowisku zachowywał czystość serca, dar sympatii i skarby miłosierdzia. Nie będę tu mówił o czynach jego opowiedzianych w dziele pt. *Gospoda pod Królową Gęsią Nóżką*. Nie chcę nawet zaciekać się, żali¹², jak to powiadano o pani de Mouchy, więcej był wart niżli życie jego. Czyny nasze nie są to nasze dzieła, zależą bowiem więcej od okoliczności niż od nas samych. Różne ręce kierują nami, nie warciśmy często samych siebie, a jedyna rzecz, jaką posiadamy naprawdę, to myśl nieuchwytna, ona stanowi jądro naszej istoty. Stąd też płynie owa pycha opinii publicznej.

W każdym razie stwierdzam z przyjemnością, że wszyscy bez wyjątku ludzie kultury uznali księdza Coignarda za człowieka bardzo miłego i interesującego. Trzeba by też być prawdziwym faryzeuszem, by nie przyznać, że było to piękne dzieło Boże. Teraz wracam co prędzej do samej nauki jego, gdyż o nią tutaj wyłącznie idzie.

Brakiem największym znakomitego męża był zupełny zanik instynktu czci. Natura odmówiła mu tej zalety, a nie uczynił nic, by ją nabyć. Bał się widocznie, że wielbiąc jednych, poniży drugich, zaś miłość chrześcijańska, jaką się odznaczał, obejmowała wszystkich po równi, maluczkich i wielmożów. Ofiary budziły w nim politowanie, zaś kaci napełniali go taką

¹² żali a. zali (daw.) – czy, czyż, czy rzeczywiście. [przypis edytorski]

wzgardą, że nie uznawał ich nawet za godnych nienawiści. Nie życzył im nic złego, żałował jeno, iż stali się złymi.

Nie wierzył, by jakiegokolwiek represalie legalne czy samorzutne mogły usunąć zło, przeciwnie, mniemał, że je zwiększają tylko. Nie lubował się w złośliwych przytykach czy satyrze, jaką się posługuje zemsta osób pojedynczych, ani także w pełnym majestatu okrucieństwie prawa. Uśmiechał się czasem patrząc na pogrom posiepaków policyjnych, lecz był to jeno zrozumiały odruch człowieka z ciała i krwi, objaw dobroduszności jego.

Pogląd jego na zło był nader prosty i zrozumiały. Wywodził go wyłącznie z organicznej budowy człowieka i jego uczuć naturalnych, nie zaćmiewając go zgoła ową masą przesądów, spiętrzonych w tak sztuczną, nielogiczną budowlę.

Wspomniałem już, że nie stworzył własnego systemu, nie mając skłonności do rozwikływania problemów za pomocą sofizmatów. Widocznie wstrzymała go zaraz ta pierwsza trudność w rozważaniach nad sposobami ziszczenia na ziemi szczęścia lub przynajmniej pokoju. Przekonany był, że człowiek jest z natury swojej bydlęciem niezmiernie złym i społeczeństwo jest dlatego wstrętne, ponieważ owo bydłę wkłada cały swój geniusz w tworzenie go. Nie spodziewał się tedy niczego pomyślnego z powrotu do stanu natury. Wątpię, czy byłby zmienił zapatrywanie, choćby żył dość długo, by przeczytać *Emila*. W czasie gdy umierał, J. J. Rousseau nie przewrócił jeszcze świata do góry nogami krasomówstwem najszczerzego

uczucia, zjednoczonym z najfatalniejszym rozumowaniem. Był on wonczas¹³ ledwo małym urwipołciem i, niestety, widywał na ławkach na poły bezludnych alei Lyonu innych księży, zgoła niepodobnych do księdza Hieronima Coignarda. Jakaż to wielka szkoda, że znakomity mąż, mający tyle znajomych w różnych warstwach społeczeństwa, nie spotkał przypadkiem małego przyjaciela pani de Warens. Choć prawda, byłaby to jeno zabawna scena, coś w rodzaju obrazka o romantycznym nastroju. Jan Jakub nie mógł nabrać zamiłowania do pesymistycznej mądrości naszego filozofa. Nie ma chyba większych sprzeczności niż pomiędzy rozumowaniem Rousseau a ks. Coignarda. To ostatnie przepojone jest dobrotliwą ironią, jest pobłażliwe i łatwe, zbudowane na ułomności ludzkiej, posiada niewzruszalne podstawy. Pierwszemu brak zwątpienia i lekkiego uśmiechu. Oparte o fikcyjną zasadę dobroci prymordialnej¹⁴ naszych współbliźnich, znajduje się ciągle w kłopotliwej sytuacji, nie zdając sobie nawet sprawy, jak jest śmieszną. Takie doktryny głosić mogą jeno ludzie, którzy nie śmiali się nigdy. Czując, że się wplątali w głupstwo, gniewają się, a ten zły humor nie posiada żadnego powabu. Mało tego jeszcze, prowadzają człowieka do małpy i wpadają we wściekłość szaloną, przekonawszy się, że nawet małpa nie jest cnotliwa. Jest to doktryna okrutna i głupia, a pokazała się taką dowodnie, gdy

¹³ *wonczas* (daw.) – wtedy, w tym czasie. [przypis edytorski]

¹⁴ *prymordialny* (z fr. *primordial*: pierwotny; najważniejszy) – pierwotny, początkowy, wrodzony. [przypis edytorski]

mężowie stanu uwzięli się zastosować kontrakt socjalny¹⁵ do... najlepszej z republik.

Robespierre czcił pamięć Rousseau i musiałby uznać księdza Coignarda człowiekiem złym. Nie czyniłbym o tym wzmianki, gdyby w istocie Robespierre był potworem, ale dla mędrca nie istnieją potwory. Robespierre był optymistą, wierzącym w cnotę, a mężowie stanu o takim temperamencie sprowadzają zawsze dużo zła na świat. Ten, kto ma pretensję kierować ludźmi, nie powinien zapominać, że są to złośliwe małpy. Pod tym jeno warunkiem można być politykiem ludzkim i dobrym. Szaleństwa rewolucji wynikły jeno z chęci ugruntowania cnoty na ziemi. Ten, kto chce uczynić ludzi dobrymi, mądrymi, wolnymi, umiarkowanymi i wspaniałomyślnymi, musi konsekwentnie dojść do chęci wymordowania ich do szczętu. Wierzący w cnotę Robespierre był twórcą terroru. Marat wierzył w sprawiedliwość i zażądał dwustu tysięcy głów. Ksiądz Coignard zalicza się pewnie do tych umysłowości XVIII wieku, których poglądy stoją w największej z rewolucją sprzeczności. Nie podpisałby na pewne¹⁶ ani jednego wiersza *Praw człowieka i obywatela*, a to z powodu strasznego i zasadniczego rozdźwięku, jaki ten akt wprowadza między człowiekiem a gorylem.

Przed kilku dniami odwiedził mnie pewien znajomy anarchista, zaszczycający mnie swą przyjaźnią, którego lubię, albowiem, nie biorąc do tej pory udziału w rządach swego kraju,

¹⁵ *kontrakt socjalny* – umowa społeczna, postulat J.J. Rousseau. [przypis edytorski]

¹⁶ *na pewne* – dziś: na pewno. [przypis edytorski]

zachował sporą dozę niewinności. Otóż pragnie on wszystko wysadzić w powietrze dynamitem, ponieważ wierzy, że ludzie z natury są dobrzy i cnotliwi. Pewny jest, iż postradawszy mienie i wyzwoliwszy się spod praw, zrzucą natychmiast z siebie egoizm i złośliwość. W ten sposób optymizm najtkliwszy doprowadził go do zwierzęcego wprost okrucieństwa i dzikości.

Całym nieszczęściem jego jest i całą zbrodnią, że przyniósł duszę elizejską, wieku złotego godną, do państwa kuchtów, gdzie żyć skazany został. To drugie wydanie Rousseau, uczciwego i prostego, który nie dałby się zastraszyć pani d'Houdetot ani nie ugiął się przed uprzejmą wspaniałomyślnością marszałka Luksemburga. Czystość ducha czyni logikę jego straszliwą. Rozumuje nierównie lepiej niż minister, punktem wyjścia jest mu atoli nonsens oczywisty. Nie wierzy w grzech pierworodny, mimo że jest to dogmat tak niezbitcie prawdziwy i niewzruszony, że na tym kamieniu węgielnym mógł każdy budować, co chciał.

Jakaż szkoda, księżo Coignardzie, że cię nie było w mym gabinecie, gdyż niezawodnie przekonałbyś go o nicości założeń jego nauki! Pewny jestem, że nie mówiłbyś temu szlachetnemu utopiście o dobrodziejstwach cywilizacji ni koniecznościach państwowych. Wiesz dobrze, iż nie przystoi natrząsać się z nieszczęśliwego. Nie tajne ci, że tzw. ład publiczny jest to jeno gwałt zorganizowany, a każdy powołany jest sądzić go w miarę swych potrzeb i praw. Dałbyś mu, zaręczam, pełny obraz, straszliwą wizję onego porządku naturalnego, jaki chce sprowadzić, wskazałbyś w ramach idylli, o której marzy,

nieskończoną ilość krwawych tragedii osobistych, a w końcu przekonałby się, że pod oną szczęsną anarchią kryje się zaródk bezwzględnej i okrutnej tyranii.

To nas prowadzi do bliższego określenia stanowiska, jakie zajął ks. Coignard pod „Małym Bachusem” wobec rządów i ludów. Nie uszanował ani augurów społeczeństwa, ani arki państwowości. Wyraził silne wątpliwości nawet odnośnie do świętej ampułki¹⁷, będącej za jego czasów podwaliną szczęśliwości społecznej, jak za naszych głosowanie powszechne, i oświadczył, że zalety jej mogą podlegać dyskusji. Wolnomyślność ta, która musiała oburzyć wszystkich współczesnych, nie dotyka nas wcale.

Źle zrozumiałby jednak naszego filozofa ten, kto by mu przebaczał i tłumaczył popędliwością jeno ataki krytyczne, jakie przypuszczał do fortecy *ancien regime'u*. Książd Coignard nie czynił wielkiej różnicy pomiędzy formami rządu, które zwano absolutnymi, i formami liberalnymi, a mamy dużo powodów przypuszczać, że gdyby żył za naszych czasów, zachowałby w duszy sporą dozę swego szlachetnego oburzenia, które zeń biło jak woda ze źródła.

Sięgając w swej krytyce zasad, odkryłby niezawodnie nicość zasad naszych. Świadczy o tym jedno z powiedzeń jego, jakie

¹⁷ Wyraził silne wątpliwości nawet odnośnie do świętej ampułki, będącej za jego czasów podwaliną szczęśliwości społecznej, jak za naszych głosowanie powszechne – naczyńko zawierające święcony olej, którym namaszczano czoła królów Francji przy koronacji. Rozbił je w roku 1793 na placu publicznym Reimsu reprezentant ludu, Ruhl. Przechowywane było przez całe wieki w katedrze w Reims. [przypis tłumacza]

zachowane zostało.

– W ustroju demokratycznym – oświadczył ks. Coignard – lud poddany jest pod jarzmo woli własnej, a jest to straszliwa niewola! W istocie ludowi jest tak obcą wola własna i tak sprzeczną z jego życzeniami, jak i wola króla. Wolę powszechną w drobnej jeno części odnaleźć można w woli poszczególnych osób. Czasem zgoła jej tam nawet nie ma, a mimo to wszyscy znosić muszą przymus nią narzucony. Stąd też głosowanie powszechne jest podobną pułapką na głupców jak gołębnica, która przyniosła krzyżmo święte z nieba w dzióbku. Rząd ludowy równie jak monarchiczny opiera się o fikcję i żyje fortelami, idzie tylko o to, by wmówić w obywateli ów absurd zasadniczy i zręcznych imać się sztuczek, bo gdy się któraś nie uda, nieszczęście gotowe.

Maksyma owa starczy, by nas przepoić wiarą, że i za dni naszych zachowałby ową pogodną, dumną wolnomyślność, która zdołała duszę jego za czasów królewskiej. Mimo to nie był nigdy rewolucjonistą. Nie posiadał dość talentu do życia zładą i wiedział, że formy rządu zniweczone mogą zostać jeno przez one ślepe, tajne, a powolnie działające niezmożone potęgi, które ziszczają przemianę wszystkiego na ziemi.

Wierzył, że jeden i ten sam naród rządzony może być w danym czasokresie w jeden jeno sposób, a to z tego powodu, iż narody są to organizmy, których funkcje zależą od budowy członków i stanu organów, to znaczy od podłoża i samej natury ludu, nie zaś od form rządu, które są jeno dopasowane do narodu,

niby suknia do ciała ludzkiego.

– Całe nieszczęście – dodawał – że z narodami dzieje się podobnie jak z Arlekinem i głupim Kubą w czasie przedstawień jarmarcznych. Ubiory ich są zazwyczaj za obszerne lub za ciasne, niewygodne, śmieszne, brudne, pełne dziur i roją się od robactwa. Można temu zapobiec poniekąd, trzepiąc je ostrożnie lub biorąc na pomoc igłę i nożyczki. Należy to czynić delikatnie, by nie narazić się na koszt sprawiania nowej odzieży, równie niestosownej, a jednocześnie nie upierać się przy zachowaniu starej, jeśli ciało z biegiem czasu przybrało zgoła inne rozmiary i kształty.

Widzimy tedy, że ks. Coignard umiał pogodzić ład z postępem i że w gruncie rzeczy wcale nie był złym obywatelem. Nie podburzał nikogo do rewolty, ale pragnął, by instytucje państwowe zużywały się i rzeźbiły raczej przez ustawiczne tarcie, niżby je obalano i trzaskano uderzeniami pięści. Zwracał ciągle uwagę swym uczniom na to, że najbardziej szorstkie prawa polerują się przedziwnie przez ciągłe używanie i że cierpliwość czasu pewniejszą jest od ludzkiej.

Gdy widział doraźną modyfikację niekształtnej postaci prawa, nie pochwalał tego i nie żywił żadnej nadziei, mało mając zaufania do nagłych zmian ustawodawczych. Czasem pytał go Jakub Rożenek, żali¹⁸ nie obawia się, by jego krytyczna filozofia, stosowana do urzędzeń koniecznych, które sam za pożyteczne uważał, nie miała fatalnego wpływu na zachwianie tym, co należy

¹⁸ *żali* a. *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

ochroniać i zachować.

– I na cóż – mówił mu wierny uczeń – i na cóż, o najdoskonalszy z mistrzów, walić w proch podwaliny prawodawstwa, sprawiedliwości i w ogóle wszystkich magistratur cywilnych i wojskowych, skoro sam uznajesz, że potrzebne jest prawo, wymiar sprawiedliwości i armia, że potrzebni są urzędnicy i policja?

– Synu mój – mówił ks. Coignard – zbadałem gruntownie rzecz i wiem, że zło ludzi trapiące tkwi w przesadach, podobnie jak pająki i skorpiony wyłazą z ciemni wilgotnych piwnic i śmietników. Dobrze jest od czasu do czasu wziąć do ręki pogrzebacz i miotłę i pomachać nimi na oślep po wszystkich zakamarkach. Dobrze jest także wziąć czasem oskard i puknąć tu i ówdzie w mur piwnicy lub ruszyć łopatą ziemię w ogrodzie. Napędza to strachu robactwu i przyspiesza rozpadnięcie się zmurszałych ścian.

– Zupełna racja – powiadał słodki Rożenek. – Ale cóż zostanie, o mistrzu jedyny, gdy powalisz w gruz wszystkie zasady?

Na to zwykł był odpowiadać mistrz:

– Społeczeństwo żyć nie przestanie po zniweczeniu wszystkich fałszywych zasad, albowiem jest ono oparte o konieczność, której prawa, starsze niżli sam Saturn, trwać będą wówczas nawet, kiedy Prometeusz zasiądzie na tronie Jupitera.

Od czasu wygłoszenia owego poglądu przez księdza Coignarda Prometeusz kilka już, co najmniej, razy

zdetronizował Jupitera, a prorocze słowa tego mędrca ziściły się tak dosłownie, że dzisiaj nie wiemy na pewno¹⁹, czy przypadkiem na tronie nie zasiada Jupiter, bowiem nowy porządek rzeczy najzupełniej podobny jest dawnemu. Wielu nawet zgoła powątpiewa we władztwo tego tytana. Nie widać, powiadają, na piersi jego rany, przez którą sęp niesprawiedliwości wydarł mu serce, a wszakże rana ta miała broczyć po wiek wieków? Nie wie on, co cierpienie, bunt i wygnanie. Nie jest to bóg-pracownik, który nam był przyobiecany i którego wyczekiwaliśmy. To spaśny Jupiter starego, śmiesznego Olimpu. Kiedyż objawi nam się mocarny przyjaciel ludzi, dawca ognia, tytan przykuty do skały? Straszliwy łomot, dolatujący od gór, świadczy, że wychyla spod skalnych głązów okryte ranami ramiona i obejmuje nas w żar płomiennego oddechu, płynący z dala.

Nie zajmując się sprawami bieżącymi, ks. Coignard miał skłonność do spekulacji abstrakcyjnych i chętnie głosił idee ogólne. Ten nastrój umysłu, szkodliwy wobec współczesnych, sprawia, że mimo półtorawiekowej oddali poglądy jego zachowały i dla nas wartość i nie przestały być pożyteczne. Możemy z nich dowiedzieć się, co jest istotnym w naszych obyczajach, i odkryć zło w nich tkwiące.

Krzywdy, szaleństwa i okrucieństwa nie rzucają się w oczy, kiedy ogarniają całe społeczeństwo. Widzimy przeto błędy przodków, nie dostrzegając własnych. Nie ma jednej jedynej epoki w całej przeszłości, gdzie człowiek nie przedstawiałby

¹⁹ *na pewno* – dziś: na pewno. [przypis edytorski]

nam się jako głupiec, krzywdziciel i dzikus, dziwnym by przeto było zjawiskiem, gdyby właśnie nasz wiek posiadał wyłączny przywilej oswobodzenia się z głupoty, złośliwości i brutalizmu. Poglądy księdza Coignarda mogłyby w wielkiej mierze dopomóc nam do rzetelnego rachunku sumienia, gdybyśmy nie byli jak owe bożyszczka, które mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą. Przy odrobinie dobrej wiary i bezstronności przekonamy się bardzo prędko, że kodeksy nasze są dotąd węzowiskami krzywdy, że w obyczajach naszych pokutuje dziedziczna srogość, skąpstwo i pycha i że czcimy wyłącznie bogactwa, za nic mając pracę. Gdybyśmy tak uczynili, zobaczylibyśmy, czym jest naprawdę nasz porządek rzeczy, mianowicie, że składa się ze zła i nikczemności, że wyrok nań wydała sprawiedliwość natury, gdy zbrakło sprawiedliwości ludzkiej, a zagłada jego zbliża się szybkim krokiem.

Bogacze nasi wydaliby nam się równie głupi jak chrabąszcze, co nie przestają pożerać liści drzew, mimo że mały pasożyt wżarł się w ich ciało i pożera im wnętrzności. Wówczas też nie dalibyśmy się kołysać do snu fałszywą i płytką deklamacją naszych mężów stanu, a politowaniem przejęłyby nas wywody naszych ekonomistów, kłócących się o meble w płonącym domu.

Słowa księdza Coignarda przedstawiają nam się jako prorocza wzgarda zasad wielkiej rewolucji i praw demokracji, na których w ciągu stu lat wznosiliśmy przy pomocy wszelakich gwałtów i nadużyć chaotyczne gmachy coraz to nowych, buntowniczych form rządu, potępiając bez żadnej ironii same bunty.

Gdybyśmy zaczęli uśmiechać się po trochu z tych głupstw naszych, które wydawały się szczytne, a były często krwawe, gdybyśmy doszli do przekonania, że przesady współczesne mają skutki równie śmieszne lub ohydne, jak dawne, gdybyśmy spojrzeli na jedne i drugie z takim jak on miłosiernym sceptycyzmem, spory stałyby się mniej częste w tym najpiękniejszym z krajów świata, a praca księdza Coignarda stałaby się, w swoim zakresie, nader pożyteczną dla całej ludzkości.

Anatol France

Poglądy księdza Hieronima Coignarda

I. Ministrowie państwa

Pewnego dnia po obiedzie odwiedził ksiądz Hieronim Coignard, jak to miał w zwyczaju, pana Blaizot, księgarza, przy ulicy Św. Jakuba w sklepie jego „Pod Obrazem Św. Katarzyny”. Spostrzegłszy na półce dzieła Jana Racine'a, zaczął od niechcienia przewracać kartki jednego tomu.

– Poeta ten – powiedział – nie był pozbawiony talentu i gdyby był zdołał wznieść swój umysł aż tak wysoko, by tragedie swe pisywać łacińskim wierszem, byłby godnym pochwały, co dotyczy zwłaszcza owego ustępu w *Atalii*, gdzie okazał, że zna się dosyć dobrze na polityce. Corneille jest w porównaniu z nim pustym jeno deklamatorem. Owa tragedia o Joasie odślania pewne sprężyny, których działanie wznosi i niweczy państwa. Przyznać trzeba, że pan Racine miał zmysł bystrości, który winniśmy cenić nierównie więcej niż wszystkie subtelności poezji i krasomówstwa, będące w istocie jeno sztuczką retorską, mogącą podobać się głuptakom. Roztaczać subtelności może jeno umysł słaby, nie znający istotnej natury dzieci Adama, które są nędzne i godne litości. Nie powiem, że człowiek jest to śmieszne bydlę, albowiem Pan nasz, Jezus Chrystus, odkupił go krwią swoją drogocenną. Dostojeństwo człowiecze tkwi jedynie i wyłącznie w tej właśnie niepojętej tajemnicy, ale synowie ziemi sami przez się, mali czy wielcy, są to jeno zwierzęta dzikie i budzące odrazę.

W chwili gdy drogi mój mistrz wygłaszał te słowa, do sklepu wszedł pan Roman.

– Hola, księże dobrodzieju! – zawołał ten wybitny mąż.
– Zapominasz, widzę, że owe zwierzęta, budzące odrazę i dzikie, podlegają, przynajmniej w Europie, przedziwnie zorganizowanej policji i że państwa, jak np. królestwo francuskie i republika holenderska, odbiegły już bardzo daleko od owego barbarzyństwa i dzikości, które tak księdza rażą.

Mistrz wsunął na miejsce tom Racine'a i odpowiedział panu Roman ze zwykłym wdziękiem:

– Przyznaję panu, że czyny mężów stanu wydają się konsekwentne i jasne w pismach filozofów, którzy im poświęcają swe prace, i podziwiam w pańskim dziele o *Monarchii* kompozycję i wyborną koordynację idei. Racz pan jednak poprzestać na oddaniu hołdu sobie samemu tylko za owo piękne rozumowanie, jakie przypisujesz wielkim politykom czasów dawnych i obecnych. Nie posiadali oni zalet umysłu, jakimi ich wyposażasz; ci słynni ludzie, którym się zdawało, iż wiedzą świat, byli w gruncie rzeczy jeno igraszką losu i okoliczności. Nie przerastali wcale poziomu głupstwa człowieka i byli koniec końcem jeno osławionymi nikkzemnikami.

Słuchając z oznakami zniecierpliwienia tego wywodu, pan Roman chwycił w ręce stary atlas i zaczął nim tłuc po stole hałaśliwie, po chwili zaś łoskot ten zmieszał się z szmerem jego głosu:

– Cóż za zaślepienie! – zawołał. – Jak to, czyż może ksiądz

zapoznawać²⁰ doniosłość czynów wielkich ludzi, ministrów czy obywateli? Więc tak dalece nie znasz ksiądz historii, że nie wiesz, iż taki Cezar, Richelieu czy Kromwel²¹ ugniatał ludy całe niby garncarz glinę? Czyż nie dostrzega ksiądz, że państwo idzie niby zegarek w rękę zegarmistrza?

– Nie widzę tego – odrzekł szczerze mistrz mój. – Od lat pięćdziesięciu, to jest, jak długo żyję, widziałem w tym kraju kilka zmian rządów, a nie spostrzegłem, by się zmieniły czyjeś warunki bytu, o ile nie wezmę w rachubę pewnego nieznacznego postępu, który nie zawisł zgoła od ludzkiej woli. Wnoszę stąd, że jest rzeczą niemal obojętną, czy jest się rządzone w ten, czy inny sposób, i wszyscy ministrowie wyróżniają się od innych ludzi jeno ubiorem i karetą.

– Jakże można mówić w ten sposób – odrzekł pan Roman – bezpośrednio po śmierci ministra państwa, który tak żywy brał udział we wszystkich ważnych sprawach i który po długiej niełasce zmarł, w chwili gdy obejmował z powrotem w ręce władzę i wracał do utraconych zaszczytów i godności? Rozgłos towarzyszący jego trumnie powinien być dostatecznym chyba świadectwem jego czynów. Sława ta przeżyła go i przeżyje długo!

– Proszę pana – odrzekł mój mistrz – minister ten był człowiekiem zacnym, pracowitym i gorliwym i można powiedzieć o nim, jak o panu Vauban, że był zbyt grzecznym, by

²⁰ *zapoznawać* – tu: ignorować, zapominać. [przypis edytorski]

²¹ *Kromwel* – właśc.: Cromwell. [przypis edytorski]

starać się o pozory uprzejmości, toteż nie miał potrzeby umizgać się do nikogo. Jako najwyższą pochwałę powiem, że zajmując się sprawami państwa stał się lepszym, w przeciwieństwie do tylu innych, których to demoralizuje. Miał silną duszę i żywe poczucie wielkości swej ojczyzny. Zasluguje jeszcze na pochwałę za to, iż dźwigał na swych szerokich barkach cierpliwie nienawiść kupczyków i małych markiziatek, a nieprzyjaciele nawet szanują go w skrytości serc. Ale racz pan powiedzieć, cóż uczynił tak znowu wielkiego i z jakiego to powodu wydaje ci się czymś więcej niż igraszką podmuchów wiatru, przelatujących wokół niego? Jezuici, których wygnał, powrócili, mała wojenka religijna, którą rozdmuchał ku zabawie narodu, zgasła marnie, pozostawiając po całym spektaklu jeno cuchnący zewłok spalonej rakiety. Miał, przyznaję panu ochotnie, spryt w urządzaniu rozrywek, czyli raczej dywersji, odwracających uwagę od rzeczy niepotrzebnych. Stronnictwo jego, będące jeno wytworem okoliczności i fortelów, nie czekało nawet śmierci jego, by zmienić nazwę i szefa, nie tykając samej doktryny. Stworzona przezeń intryga pozostała wierną mistrzowi i sobie samej i dalej kierowała się podmuchami wiatru. Czy to mają być dzieła wielkie, budzące podziw i cześć?

– A to doskonałe... a to przedziwne! – odrzekł pan Roman. – Sądziś ksiądz dobrodziej, że ten minister czerpał swoją siłę rządzenia jeno z chmur i metafizycznych urojeń i z tego tworzył rzeczy realne i istotne, które mu zjednały ogólny poklask? Stronnictwo jego, powiada ksiądz, był to

wytwór okoliczności i fortelów. Ale czegoż, na miły Bóg, potrzeba bardziej dla wsławienia się w kierowaniu sprawami ludzkimi, jak nie umiejętności chwytania sposobnej chwili i posługiwania się użytecznymi fortelami? Tego właśnie dokonał, a raczej byłby dokonał, gdyby małoduszność i zmienność jego zwolenników oraz perfidne zuchwalstwo wrogów były mu umożliwiły przeprowadzenie zamierzeń. Niestety, stargał siły w daremnych wysiłkach okiełznania tych drugich, a skonsolidowania pierwszych. Zabrakło mu czasu i ludzi, owych koniecznych środków dla zaprowadzenia dobroczynnego despotyzmu. Naszkicował przynajmniej niezrównany plan polityki wewnętrznej, a nie wolno zapominać o tym, że na zewnątrz wyposażył ojczyznę w rozległe, urodzajne terytoria. Winniśmy mu za to tym większą jeszcze wdzięczność, że dokonał tych szczęśliwych operacji sam jeden, i to wbrew parlamentowi, od którego był zawisty.

– Panie Roman – powiedział mistrz – minister okazał dużo energii i zręczności w sprawach kolonialnych, niewiększe one były jednak chyba niż także zalety niejednego z obywateli, kupującego szmat ziemi. Całą przyjemność psuje mi zawsze, gdy mowa o tego rodzaju wyprawach morskich, sposób postępowania Europejczyków z tymi ludami dalekiej Afryki i Ameryki. Ile razy zetkną się ze szczepami rasy żółtej czy czarnej, niezwłocznie wydaje im się, że muszą je wytępić. Z dzikimi można sobie, zdaniem ich, dać radę jedynie przy pomocy udoskonalonej dzikości. Do takich to ostateczności doprowadza

każde przedsięwzięcie kolonialne. Nie zaprzeczam, że Anglicy, Hiszpanie czy Holendrzy odnieśli stąd niejaki korzyści. Ale zazwyczaj rusza się na los szczęścia i bez żadnego planu na takie okrutne wyprawy. Czymże jest zresztą wola czy mądrość jednego wielkiego człowieka w przedsięwzięciach dotyczących handlu, rolnictwa czy żeglugi, a więc zawisłych z natury rzeczy od niezmiernej liczby istot małych i nikłych? Udział ministra w sprawach tego rodzaju jest nader mały, a jeśli wszystko jemu samemu przypisujemy, to dlatego, że umysł nasz, skłonny do mitologii, chce dać imię i kształt określony wszystkim tym niezliczonym, utajonym siłom przyrody. Cóż to stworzył pański minister nowego w sprawie kolonii, czego by już nie znali Fenicjanie za czasów Kadmusa?

Na te słowa pan Roman upuścił atlas, a księgarz pochylił się, by go podnieść nieznacznie.

– Księżę dobrodzieju! – zawołał. – Z żalem wielkim przekonywam się, że ksiądz jesteś sofistą! Tylko sofista zdolny być może mieszać Fenicjan i Kadmusa z przedsięwzięciami kolonialnymi zmarłego ministra! Nie można zaprzeczyć, że rzecz ta jego była dziełem, przeto ksiądz w marny sposób chce zaćmić sprawę, wprowadzając na porządek dzienny Kadmusa.

– Panie Roman – rzekł ksiądz – zostawmy w spokoju Kadmusa, skoro masz pan do niego osobistą urazę. Chciałem tylko powiedzieć, że minister ma bardzo niewielki jeno udział w swych własnych przedsięwzięciach i że ani chwała mu się nie należy, ani hańba go nie obciąża. Chcę dalej powiedzieć, że

jeśli w nędznej komedii życia książęta udają, iż rządzą, a narody udają, że ich słuchają, to jest to jeno zabawka, czczy pozór, a w gruncie rzeczy i ci, i tamci powolni są sile wyższej a niepoznanej.

II. Święty Abraham

Była piękna, ciepła noc letnia. Komary i ćmy tańczyły wokół latarni nad drzwiami „Małego Bachusa”, a ks. Coignard zażywał świeżego powietrza pod sklepieniem portyku Św. Benedykta Beturneńskiego. Rozmyślał głęboko, jak to było jego zwyczajem, gdy nagle ujrzał Kasię. Siadła na ławce kamiennej tuż przy znakomitym mężu, który nie lenił się nigdy chwalić Boga w dziełach jego. Z wielkim tedy upodobaniem ją przyglądać się onej dziewczynie, że zaś umysł jego był rzeźwy i zdobny, przeto mówił jej rzeczy miłe i przychlebne. Chwalił ją za to, że dowcip²² nie tylko w języku posiada, ale również w karczku, łonie i innych częściach swej osoby. Powiadał, iż uśmiechać się potrafi nie tylko wargami i policzkami, ale także każdym dołeczkiem i każdą szpareczką swego nadobnego ciała, tak że każdego mierzi osłona, w jaką jest spowita, i rad by patrzeć na to uśmiechanie bez żadnej przeszkody.

– Z uwagi na to, że grzeszyć już musimy na tej nędznej ziemi – mówił – i nikt nie może unosić się pychą, jakoby mu nie zagrażał upadek, tedy proszę Boga, by mi udzielił przywileju, iżbym właśnie z tobą upaść mógł, dziewczeczko miła, o ile nie sprzeciwia się to woli twojej. Wynikłyby stąd dwie wielkie korzyści, a mianowicie: po pierwsze, mógłbym grzeszyć

²² *dowcip* (tu daw.) – inteligencja, bystrość umysłu. [przypis edytorski]

z radością wyjątkową i rozkoszą niewystowioną, po wtóre zaś, znaleźć usprawiedliwienie w potędze wdzięków twoich, jest bowiem niewątpliwie zapisane w księdze losu, iż wdziękowi twym nikt oprzeć się nie zdolny. Należy wziąć to pod głęboką rozagę. Zdarza się widzieć ludzi nieroztropnych, spółkujących z kobietami szpetnymi i niemiłej postaci. Nieszczęśni ci, czyniąc tak, bliscy są zraty dusz swoich, bowiem grzeszą, by grzeszyć, a grzech ich pracowity przepojony jest jadem zła. Tymczasem cudne ciało twoje, droga Kasiu, to okoliczność łagodząca wielce sprawę w oczach Przedwiecznego. Wdzięki twe zmniejszają nieźrównanie występku, z którego łatwiej rozgrzeszyć, ile że jest mimowolny. Krótko mówiąc, nadobna panienko, gdy siedzę przy tobie, czuję, że łaska Boża opuszcza mnie, oddała się i ulata niby gołębek srebrzysty. W chwili gdy wymawiam te słowa, majaczy on ledwo widzialnie na niebie, ponad dachami, kędy wśród rynien miłują się koty, miotając wrzaski dziecięcym skargom podobne, a księżyc beczelnie siada na cembrowinie komina i gapi się na nas głupawo. Wszystko, co mi danym jest widzieć z osoby twej, Kasienku, porusza mnie wielce, a to, czego dojrzeć nie mogę, porusza oczy moje stokroć silniej jeszcze.

Na te słowa Kasia spuściła oczęta na własne kolana, potem potoczyła nimi połyskliwie po obliczu księdza Coignarda i rzekła słodkim głósikiem:

– Widzę życzliwość w tych słowach, księże Hieronimie, przeto uczyni mi łaskę pewną; przyrzeknij, że ją spełnisz, a niezawodnie wdzięczną się okażę.

Zacny kapłan przyrzekł ochotnie, któż bowiem na miejscu jego mógłby inaczej postąpić?

Wówczas Kasia zaczęła mówić z wielkim ożywieniem:

– Wiadomo ci jest, księże Hieronimie, że wikariusz św. Benedykta, ksiądz Peruczka, obwinił brata Anioła o kradzież osła i wniósł skargę do konsystorza. Otóż nie ma w tym wszystkim słowa prawdy. Biedny brat Anioł pożyczył sobie jeno osła celem wożenia po wioskach okolicznych świętych relikwii. Osioł sam zgubił się gdzieś w drodze, a relikwie odnalezione z trudem zostały. Jest to rzecz pryncypalna, jak powiada zacny braciszek. Niestety, ksiądz Peruczka domaga się gwałtownie zwrotu osła i nie chce słuchać wyjaśnień żadnych, toteż zdaje się, że nieszczęsny brat Anioł powędruje do więzienia w arcybiskupstwie. Ty jeden, kochany księże Hieronimie, możesz ułagodzić go i skłonić, by cofnął skargę swoją.

– Ależ, miła panienko – zawołał ksiądz Coignard – ani nie mogę, ani nie mam ochoty uczynić tego!

– Oo... – rzekła Kasia przysuwając się doń bliźsiuteńko i patrząc z czułością niewysłowioną – czułabym się nader nieszczęśliwą, gdybym nie zdołała napełnić cię ochotą wielką, drogi księże Hieronimie. Jeśli zaś idzie o możliwość, to wiem dobrze, iż możesz, i to bardzo nawet możesz. Tedy nie sprawi ci trudności wyzwolenie biednego braciszka. Wystarczy, jeśli podarujesz księdzu Peruczce osiem kazań wielkopostnych i cztery kazania adwentowe. Ułóż ten tuzin kazań, księże Hieronimie, ułóż na poczekaniu. Cóż to dla ciebie, drogi

księżuniu, kazanie? Możesz wytrząść z rękawa, ile chcesz, i czynisz to nawet z wielką przyjemnością. Zabierz się do roboty co prędzej, a ja przyjdę po nie sama do twej celi u Świętego Innocentego. Ksiądz Peruczka uwielbia niezmierną wiedzę twoją, drogi księże, oraz twe zasługi i uznał, że tuzin twych kazań dorównywa wartością cenie osła. Skoro je tylko będzie miał, niezwłocznie cofnie skargę. Sam mi to powiedział. Cóż to za trudność napisać tuzin kazań, zważ tylko, a przyrzekam solennie, że sama napiszę na końcu każdego... amen! Trzymam cię za słowo, drogi księżuniu... prawda?

To powiedziawszy otoczyła ramionami jego szyję.

– Odmawiam stanowczo! – oświadczył ksiądz Coignard rozplatając cudne ramionka, obejmujące go uściskiem. – Obietnice dane pięknej dziewczynie dotyczą jeno rzeczy cielesnych, przeto nie jest występkiem łamać słowo! Nie licz na to wcale, nadobna panienko, bym miał wydobywać ze szponów świętego konsystorza twego brodatego gacha. Jeśli nawet ułożę kazanie czy dwa, czy cały tuzin kazań, to jeno na temat złych, niegodnych mnichów, co łążą niby wszy obrzydłe po brodzie i szatach świętego Piotra. Ten brat Anioł to szelma! Wtyka naiwnym kobietom miast świętych relikwii kości baranie czy świńskie, które sam ogryzł poprzód z żarłocznością obmierzłą. Wiózł on, rękę za to, na grzbiecie osła księdza Peruczki pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, promień z gwiazdy Trzech Królów, a w małej fiołce odrobinę dźwięku dzwonów ze świątyni Salomona. Jest to oszust, łgarz i ty go miłujesz, Kasiu, oto

trzy powody, dla których znosić go nie mogę. Zostawiam twej domyślności, panienko, do wyboru, który z tych powodów jest najsilniejszy. Może właśnie przeważa ów, który posiada najmniej cech uczciwości, bowiem brały mnie ku tobie przed chwilą ciągoty nieprzystojne imieniu, wiekowi ni stanowisku memu. Odczuwam boleśnie krzywdę, jaką ten zakapturzony gach czyni nieraz Kościołowi Pana Naszego Jezusa Chrystusa, którego członkiem jest arcyniegodnym. Myśl o tym wstrętnym kapucynie napełnia mnie takim obrzydzeniem, że nagle przyszła na mnie chęć zatopić się w medytacjach nad którymś z przepięknych ustępów św. Jana Chryzostoma miast ocierać kolana swoje o twe łydki, nadobna Kasiu, co czynię już od kwadransa, bowiem żądza grzesznika znikoma jest, zaś chwała Boga – wiekuista. Nigdy nie miałem przesadnego poglądu na grzech nieczystości i tę sprawiedliwość oddać mi chyba każdy musi.

Nie przeraża mnie nigdy, jak niejakiego pana Nicodème, taki drobiazg jak np. poigranie rozkoszne z piękną dziewczyną, natomiast oburza mnie nikczemność duszy, obłuda, kłamstwo, jaskrawe nieuctwo, słowem to wszystko, co czyni brata Anioła skończonym kapucynem. Obcowanie z nim ubliża ci, panienko, nabierasz przeto manier flądry, szmaty, co nie przystoi zgoła twemu stanowisku dziewczyny lekkich obyczajów. Wiem, jaki z tym związany jest wstyd i troska, ale stan ten nierównie wyższym jest jeszcze od kondycji smrodliwego kapucyna. Wisielec ten pozbawia cię honoru, podobnie jak ubliża rynsztokowi ulicy Św. Jakuba, myjąc w nim nogi swoje. Pomyśl o cnotach, jakimi byś

się jeszcze mogła przyozdobić w swym niewyraźnym zawodzie, z których nawet jedna jedyna, gdyby była jeno dość wielka, mogłaby ci rozewrzeć wrota szczęśliwości niebieskiej. Ale nic z tego, jak długo związaną będziesz chucią cielesną z oną bestią poczwarną.

Oddając się nawet czasem temu czy owemu, bo wszakże trudno inaczej na tym padole płaczu, mogłabyś, Kasieńko miła, kwitnąć w świętej wierze naszej, w nadziei i miłosiernych uczynkach, miłować biednych i odwiedzać chorych. Mogłabyś zostać jałmużniczką współczującą niedoli, w czystości serca radować się widokiem nieba, wody, lasów i pól. Otworzyłszy rankiem okno swej izdebki, mogłabyś chwalić Boga, wsłuchując się w szczebiot ptasząt. Czasu pielgrzymki pobożnej na Górę Św. Waleriana uklęknęłabyś pod kapliczką i płakała rzewnie nad utraconą niewinnością swoją, a wówczas ten, który czyta w sercu człowieka, rzekłby: „Oto córka moja umiłowana, Katarzyna, a w duszy jej płonie zarzewie świętego ognia, który nie wygaś doszczętnie!”

– Księżę Hieronimie! – przerwała mu Kasia porywczo. – Całe, widzę, kazanie mówisz, i to z pamięci!

– Czyż nie żądałaś przed chwilą tuzina, nadobna dzierlatko? Rozgniewała się na dobre.

– Strzeż się, księżę Hieronimie! – zawołała. – Od ciebie samego zależy, czy będziemy przyjaciółmi, czy wrogami! Ułożysz tuzin kazań czy nie? Namysł się, zanim odpowiesz!

– Panienko – odparł poważnie ks. Coignard – nigdy w życiu

nie popełniałem czynów hańbiących... po namyśle!

– Nie chcesz, księżuniu? Nie? Pomyśl no... raz... dwa...
Odmawiasz? Pożałujesz, bo zemszczę się srogo!

Dąsała się pewien czas, zamilkła i odsunęła się. Nagle skoczyła mu na kolana i zaczęła krzyczeć:

– Puść mnie! Puść mnie, księżu Coignard! Jak to, w tym wieku nie masz poszanowania dla swej sukienki duchownej? Nie duś mnie tak! To wstyd! Wstyd... księżu, puszczajże raz do licha!

Piszcząca, jęcząca najokropniej, a w tej samej chwili ujrzał ksiądz Coignard wchodzącą pod sklepienia portyku pannę Lecoeur, masarkę spod „Trzech Dziewic”. Szła o tej późnej porze spowiadać się u trzeciego wikariusza Św. Benedykta i spostrzegłszy parę na ławce, odwróciła głowę z wyrazem nieopisanego wstrętu.

Ksiądz Hieronim przyznał w duchu, że zemsta Kasi była natychmiastowa i niezawodna, gdyż cnotliwość panny Lecoeur, wzrastając z wiekiem, stała się tak potężna, iż gromiła ona każdy objaw nieczystości w całej parafii i przesywała siedem razy na dzień ostrzem swego języka grzeszników, oddających się uciechom cielesnym w ulicy Św. Jakuba.

Ale Kasia sama nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów swej zemsty. Zauważyła idącą przez plac pannę Lecoeur, ale nie dostrzegła ojca mego, który znajdował się również w pobliżu.

Szedł wraz ze mną zabrać księdza Coignarda pod „Małego Bachusa”, a mój zacny życiodawca czuł wielki pociąg do Kasi i nic go bardziej nie gniewało, jak natręctwo rozlicznych gaszków,

dobierających się do jej skarbów zbyt obcesowo. Nie łudził się wcale co do jej postępowania, ale wiedzieć a widzieć były to, jego zdaniem, dwie zgoła odrębne nieprzyjemności. Krzyki Kasi dolatywały bardzo wyraźnie do jego uszu, a był porywczy i nie umiał panować nad sobą. Toteż bałem się bardzo, by gniew jego nie wyładował się w słowach ordynarnych i brutalnych pogroźkach. Widziałem już w duchu, jak bierze w rękę wielki szpikulec, zawieszony zawsze u pasa, niby szpada honorowa, bowiem sławę swą zakładał i zaszczyt cały w tym, że był kuchcią.

Ale obawy moje były w połowie jeno uzasadnione. Okoliczność ta, że Kasia okazała się cnotliwą, ułagodziła wielce mego rodzica, toteż poprzestał na tym, że chwyta księdza na gorącym uczynku, i nie zamierzał go obrażać, przeciwnie, zadowolenie wzięło górę nad gniewem.

Zbliżył się do mego drogiego mistrza dosyć poufale i rzekł z szyderczą powagą:

– Księżu Coignardzie, wiedz o tym, że każdy kapłan zbliżający się do dziewczki zatracą swą cnotę i naraża na szwank honor. I jest to nawet słuszne, że rozkosz nie dorównywa stracie.

Kasia oddaliła się strojąc powabne minki uciśnionego niewiniątka, zaś mistrz mój odpowiedział ojcu z miłym uśmiechem, słodko i wymownie, jak zawsze:

– To wyśmienita maksyma, mistrzu Leonardzie. Ale nie należy jej stosować bez zastanowienia i przyklejać wszędzie, za lada okazją, jak to czyni kulawy nożownik, wybijający na każdym koziku swój znak wyobrażający psa z podniesioną

nogą. Nie będę się zapuszczał w roztrząsanie, czy na apostrofie zasłużyłem, poprzestanę jeno na zapewnieniu, że może tak było w istocie.

Jest rzeczą nieprzystojną zgoła mówić o sobie samym, a zbyt wielki gwałt bym zadać musiał skromności wrodzonej, zmuszając się do dyskusji o sprawach dotyczących mnie osobiście. Wolę tedy przeciwstawić twierdzeniu twemu, drogi mistrzu Leonardzie, przykład czcigodnego Roberta d'Arbrissela, który przez bliskie stosunki z prostytutkami osiągnął wielkie zasługi duchowe. Mogę również zacytować św. Abrahama syryjskiego, pustelnika i anachoretę, który nie zawahał się nocować w domu o bardzo złej sławie.

– Cóż to za święty Abraham? – spytał mój rodzic, którego myśli były zgoła gdzie indziej w tej chwili.

– Usiądźmy przed drzwiami twej gospody – rzekł niezrównany mistrz mój – przynieś dzban wina, a powiem ci, mistrzu Leonardzie, historię owego wielkiego świętego, jak ją podaje sam święty Efrem, mąż wiarygodny wielce.

Ojciec zgodził się niezwłocznie, zajęliśmy wszyscy trzej miejsce pod wystawą gospody, a mój drogi mistrz w te ozwał się słowa:

– Święty Abraham, stary już w onym czasie, żył samotny na puszczy w małej chatce. Nagle zmarł brat jego, pozostawiając córkę, dziewczynę wielkiej piękności, Marię. Przekonany, że życie, jakie sam wie, będzie równie doskonałym dla bratanicy, Abraham zbudował jej celkę blisko swojej chatki i,

uczyniwszy okienko w ścianie, głosił jej przez nie słowo Boże.

Przyuczył ją pościć, trwać w modlitwie i śpiewać psalmy i tak żyli sobie przez czas pewien. Ale pewnego dnia wśliznął się do celi Marii mnich jeden, musiał to być mnich fałszywy albo też kapucyn, i podczas kiedy święty mąż zagłębiany był w Pismo, przywiódł ją do grzechu.

Gdy się to stało raz, drugi i trzeci, rzekła do siebie dziewczyna: „Umarłam już dla Boga i nie mam siły powstać z martwych, przeto lepiej iść mi w okolicę, gdzie mnie nikt nie zna”.

Porzuciła swą celkę i udała się do miasta sąsiedniego, mianem Edessa, gdzie były rozkoszne ogrody i rzeźwe wodotryski, a i dotąd jeszcze miasto owo zalicza się do najpiękniejszych miast Syrii.

Przez kilka dni trwał mąż święty Abraham w głębokiej medytacji i bratanicy dawno już nie było, kiedy otwarłszy okienko spytał:

– Czemuż to, Mario, nie śpiewasz psalmu, który nuciłaś tak pięknie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powziął podejrzenie straszne i domyśliwszy się całej prawdy, zakrzyknął:

– Oto wilk drapieżny porwał mi owieczkę moją!

Przywalony brzemieniem troski, trwał na pustyni przez dwa jeszcze lata, po czym doszły go wieści, iż Maria wiedzie gorszący żywot. Chcąc działać roztropnie, poprosił jednego z pątników, by rzecz zbadał i przyniósł wiadomość ścisłą. Pątnik zbadał sprawę najdokładniej osobiście, wrócił i powiedział świętemu, że

Maria w istocie zeszła na ścieżkę grzechu cielesnego. Natenczas św. Abraham uprosił onego pątnika, by mu pożyczył stroju rycerskiego i konia, a zasłoniwszy dla niepoznaki twarz wielkim kapeluszem, udał się do wspaniałej gospody, gdzie, jak mu powiedziano, miała swój apartament Maria. Przybywszy na miejsce, rozglądał się wszędzie, czy jej nie zobaczy, gdy się jednak nie ukazywała, wziął na bok gospodarza i spytał, udając, iż się uśmiecha pożądliwie:

– Zaczny panie, słyshałem, że macie tu urodziwą dziewczkę; czy mógłbym ją zobaczyć?

Gospodarz był bardzo uprzejmy dla swych gości, przeto zaprowadził przybysza do pokojów Marii, a święty mąż na pierwsze wejrzenie osądził z samego stroju swej bratanicy, jak powiada św. Efrem, że musi częściej rozbierać się niż ubierać, czyli pędzi żywot arcyniegodny. Patrząc na to, doznał św. Abraham wielkiego przygnębienia.

Udał jednak wesołość i zamówił wystawną biesiadę. Maria była dnia tego właśnie w usposobieniu ponurym, bowiem nie zawsze dając rozkosz doznawała jej sama, a widok owego starca, którego nie poznała z powodu, iż nie zdjął słoniącego mu oblicze kapelusza, nie budził w niej nadziei na wielkie cielesne uciechy. Gospodarz zburczał ją z powodu tak złego humoru, zgoła niestosownego dla dziewczyny jej kondycji, ona zaś odrzekła z westchnieniem:

– O jakaż szkoda, że nie spodobało się Bogu, bym zmarła przed trzema laty!

Św. Abraham przybrał sposób wysłowienia się światowego rycerza, stosowny do stroju, jaki nosił, i rzekł:

– Panienko nadobna, nie przybyłem tutaj, by razem z tobą opłakiwać grzechy, ale by radować się miłosnymi uściskami.

Gdy jednak gospodarz zostawił ich sam na sam, święty mąż przestał grać przybraną rolę, zdjął kapelusz, zalał się łzami i spytał:

– Czyż nie poznajesz mnie, droga córko moja? Czyż nie widzisz, że jest Abraham, ojciec twój przybrany?

Ujął jej ręce i przez całą noc zagrzewał do żalu, skruchy i pokuty, strzegąc się pilnie, by nie przywieść jej do zwątpienia w możliwość naprawy życia.

– Córko moja – mówił – Bóg jeden jest bez grzechu! My, słabi ludzie, musimy grzeszyć na tej ziemi!

Maria miała duszę z natury dobrą, a serce czułe, zgodziła się przeto wracać na pustynię i gdy dzień nastał nowy, ruszyli oboje. Chciała zabrać suknie swe i klejnoty, ale święty mąż przekonał ją, że lepiej zostawić te znikomości światowe. Wziął ją przed siebie na konia i osadził w celi pustelniczej, gdzie zaczęli na nowo wieść bogobojny żywot poprzedni. Święty Abraham postarał się jeno, by celka Marii nie miała dostępu z zewnątrz i by każdym razem musiała przechodzić przez izdebkę, w której sam mieszkał. W ten sposób, przy pomocy Bożej, strzegł swej drogiej owieczki i nie utracił jej do końca dni swoich.

Taka to jest historia o świętym Abrahamie!

Powiedziawszy, co rzec miał, drogi mistrz mój sięgnął po szklanę z winem, a ojciec oświadczył szczerze:

– Przecudna to opowieść. Nieszczęsne przygody biednej Marii wycisnęły mi łzy rozczulenia z oczu.

III. Ministrowie państwa (ciąg dalszy i dokończenie)

Zdumieliśmy się bardzo obaj, drogi mistrz mój i ja, spotkawszy pewnego dnia w księgarni pana Blaizota „Pod Obrazem Św. Katarzyny” małego, chudego, żółtego człeczka, słynnego bibliofila, paszkwilistę i erudytę, Jana Hibou, zwanego w kole znajomych Puchaczem. Mieliśmy dużo słusznych powodów przypuszczać, że siedzi w Bastylii, gdzie nawykł pędzić znaczną część życia. Nie poznaliśmy go nawet od razu z tego powodu, że oblicze jego przysłaniał coś niby wilgotny opar kazamat podziemnych.

Drżącą dłonią przewracał kartki pism politycznych świeżo nadeszłych z Holandii, a księgarz patrzył na to z niepokojem. Ks. Coignard zdjął przed nim uprzejmie kapelusz, a pozdrowienie owo wypadłoby nierównie jeszcze powabniej, gdyby kapelusz drogiego mistrza mego nie był mocno nadwreżony, co się stało minionego wieczoru podczas pewnej drobnej kontrowersji w gospodzie „Pod Małym Bachusem”.

Ksiądz Coignard wyraził radość swą na widok znakomitego człowieka, ten zaś odparł:

– Niedługo tu już pobędę, dobrodzieju. Wyjeżdżam z tego kraju, gdzie mi żyć nie dają spokojnie. Nie mogę już oddychać dłużej powietrzem onego zepsutego miasta i za miesiąc osiedlam

się w Holandii. Trudno wytrzymać tu: naprzód Dubois, potem zaś Fleury... oo... jestem człowiekiem zbyt cnotliwym, bym mógł zostać dalej Francuzem. Rządy nasze opierają się o złe zasady, a kierownikami polityki są głupcy i łajdaki. Nie mogę tego znieść, nie mogę!

– To prawda – powiedział mój mistrz nieustrudzony – sprawy publiczne źle są prowadzone i mnóstwo złodziei grasuje. Durnie i ludzie złej woli podzielili się władzą i może z czasem napiszę książeczkę w tej materii w rodzaju *Apokolokyntosu* filozofa Seneki lub naszej *Menippeï*, bowiem gustuję w tym typie. Lekkość i żartobliwość stosowniejsza jest w takim razie od ponurej oschłości Tacyta lub męczącej powagi takiego de Thou. Będą to niewielkie broszurki kieszonkowe, łatwe do skrycia pod płaszczem, i pragnę je przepoić filozoficzną pogardą ludzkości. Osoby stojące u steru wpadną we wściekłość, ręczę za to, ale znajdą się i tacy, którym ta lektura sprawi tajemne zadowolenie, gdy się przekonają, iż okryłem ich niesławą. Tak mniemam, opierając się na tym, com usłyszał od pewnej damy wysokiego rodu w Sééz, w czasie kiedy byłem tam bibliotekarzem biskupa. Trzeba wiedzieć, że dama ta przez lat dwadzieścia była najlepiej noszącą klaczą w całej Normandii i kto chciał i nie chciał mógł się na niej przejechać truchta czy galopa, wedle gustu. Otóż spytałem pewnego razu, jaki rodzaj rozkoszy sprawił jej największą przyjemność w życiu?

– Rozkosz niesławy! – odparła bez wahania i przekonało mnie to, iż posiada umysł wykwinny.

Pochlebiam może naszym ministrom, przypuszczając, że znajdzie się bodaj jeden tego rodzaju subtelniś pośród nich, ale będę pisał ze świadomym zamiarem złożenia im dyskretnej gratulacji za to, iż są występni i infamisy. Na cóż zresztą odkładać na potem pomysł tak piękny? Oto poproszę niezwłocznie kochanego pana Blaizota o niewielki zeszytik i skreślę od razu pierwszy rozdział nowej *Menippeï*.

Wyciągnął już rękę do zdumionego Blaizota, ale pan Hibou wstrzymał go nagle.

– Odłóż, księże Hieronimie, wykonanie pięknego projektu swego aż do czasu, kiedy zabiorę cię z sobą do Holandii i wyrobię ci w Amsterdamie posadę u jakiegoś fabrykanta limoniady czy właściciela łaźni parowej. Będiesz tam w spokoju ducha mógł po całych nocach pisać swą *Menippeję* na jednym końcu stołu, ja zaś na drugim pisać będę paszkwile. Będzie to dzieło zbożne i kto wie, czy nie przyczynimy się do zmiany ustroju państwa. Paszkwiliści mają więcej, niż się zdaje, zasług w obalaniu rządów; przysposabiają katastrofę, której dokonywują potem ludy.

– Cóż by to był za triumf! – dodał po chwili syczącym głosem, który ulatał szczelinami szczerbatych, czarnych, spróchniałych zębów wraz z przykrym odorem jamy ustnej. – Cóż by to za radość była, gdyby mi się udało obalić któregoś z tych panków, którzy mnie tyle razy pakowali do Bastylii! Weźmy się obaj razem do tej pięknej pracy, księże Hieronimie!

– Za nic w świecie! – odrzekł drogi mistrz mój. – Nie chcę

pod żadnym warunkiem przyczyniać się do zmiany formy rządu państwa, a jeśli mój *Apokolokyntos*, czy *Menippeja* taki mają dać rezultat, to stanowczo rezygnuję z pisania.

– Co? – wrzasnął zdumiony paszkwilista. – Czyż nie mówiłeś dobrodziej przed chwilą, że rząd nasz diabła wart?

– Mówiłem! – odrzekł ks. Coignard. – Ale idę w ślady mądrej metody onej staruszki syrakuzañskiej, która za rządów Dionizjusza, znienawidzonego przez cały lud potwora, codziennie chodziła do świątyni modlić się za pomyślność tyrana. Powiadomiony o tej dziwnej nabożności, Dionizjusz zapragnął dowiedzieć się, jaki jest jej powód. Kazał sprowadzić z acną kobiecinę i spytał.

– Jestem stara – odparła – żyłam pod wielu już tyranami i zrobiłam spostrzeżenie, że po złym nastawał jeszcze gorszy. Ty jesteś największym potworem, jakiego widziałam, a więc twój następca byłby czymś tak przeraźnym, że trudno sobie wyobrazić, i chyba świat by się musiał skończyć pod jego rządami. Dlatego to właśnie proszę bogów, by nastał jak najpóźniej.

Ta starowina, drogi Puchaczu nasz, miała wielką słuszność. Owce winny znosić cierpliwie strzyżenie nożycami starego pasterza, bo może nastać młody, który im zedrze wełnę razem ze skórą.

Na te słowa rozlała się żółć Puchacza i jął mówić z oburzeniem i goryczą wielką:

– O, cóż za nikczemne, tchórzliwe słowa! Cóż za maksymy

niegodne! O księżu, jakże mało leży ci na sercu dobro narodu! Zaprawdę, nie zasługujesz na wieniec dębowy, przyobiecany przez poetów mężnym obrońcom ojczyzny i obywatelom! Trzeba ci było przyjść na świat u Tatarów, Turków, być razem niewolnym Dżengisno-chana²³ lub Bajazeta²⁴, nie zaś żyć w Europie, gdzie cię nauczono zasad praw obywatelskich i wtajemniczono w arkana filozofii! Co słyszysz? Chcesz dźwigać jarzmo złego rządu, nie myśląc zgoła o zmianie? Uczucia tego rodzaju w republice urządzonej po mojej myśli zostałyby ukarane co najmniej wygnaniem czy relegacją. Tak, drogi księżu, dorzucę osobny artykuł do wzorowanego na starożytności projektu konstytucji, nad którym właśnie pracuję, a artykuł ten zawierać będzie postanowienia karne przeciw podobnym tobie, złym obywatelom. Wyznaczę srogie kary na każdego, kto, mogąc ulepszyć urządzenie państwowe, nie uczyni tego.

²³ *Dżengisno-chan*, właśc. *Czyngis-chan* a. *Temudżyn* (ok. 1160–1227) – jeden z najwybitniejszych władców mongolskich. [przypis edytorski]

²⁴ *Bajazeta*, dziś: *Bajazyd* (1354–1403) – sułtan osmański. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.